

# MAGIA DAWNEGO KRAKOWA

Andrzej KOZIOŁ

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2023

© Andrzej Kozioł, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Mazur

Redakcja: Halina Baszak-Jaroń

Korekta: Monika Karolczuk

Zdjęcia w części I: zbiory Muzeum Krakowa

Ilustracje w części II: Fundacja Zbiorów Rodziny Sosenków

Skład i łamanie: EDYCJA

Projekt okładki: Paweł Harlender / Studio Inigo

ISBN 978-83-277-3618-5

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

Druk i oprawa: Drukarnia WYDAWNICZA • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Artis Cream 80 g vol. 1.6

# Spis treści

## CZĘŚĆ I

### Na krakowskim Rynku

|   |     |
|---|-----|
| Linia A-B . . . . .                           | 15  |
| Trzy pałace . . . . .                         | 22  |
| Historia wielka i mniejsza . . . . .          | 37  |
| Wieża Maryjackska . . . . .                   | 59  |
| Handel i wyszynk . . . . .                    | 77  |
| Sukiennice . . . . .                          | 115 |
| Ekspresi czyli posługacze publiczni . . . . . | 127 |
| Tramwaje . . . . .                            | 132 |
| Zaczarowane dorożki . . . . .                 | 138 |
| Szopki u stóp Mickiewicza . . . . .           | 154 |
| Miejsce kaźni i zbrodni . . . . .             | 167 |

## CZĘŚĆ 2

### Na krakowskich Plantach

|   |     |
|---|-----|
| Zielony Pierścień – granica krakowskich światów . . . . . | 185 |
| Dookoła Krakowa . . . . .                                 | 190 |
| Spacery po Plantacyach . . . . .                          | 234 |
| Mniej wytworne towarzystwo . . . . .                      | 262 |
| Dwie redakcje . . . . .                                   | 286 |
| Zamiast murów, baszt i bram . . . . .                     | 302 |
| Wiewiórki i kasztany . . . . .                            | 324 |
| Utrzymanie porządku na Plantacyach . . . . .              | 330 |
| Dramaty na Plantach . . . . .                             | 341 |
| Inne Planty . . . . .                                     | 363 |
| Bibliografia . . . . .                                    | 369 |

CZEŚĆ I

Na krakowskim  
Rynku

Od czego zacząć opis krakowskiego Rynku, z której strony wejść na ten największy w Polsce plac, serce prastarej stolicy? Wypadałoby od Floriańskiej, drogą, którą ku Wawelowi zmierzali monarchowie. Dodajmy, że też stamtąd, z placu Matejki, najpiękniej ulatują w niebo wieże Mariackiego kościoła.

Kiedyś, gdy stanęło się nieopodal kościoła św. Floriana i spojrzano w stronę ulicy Floriańskiej, można było zobaczyć jeden z najpiękniejszych w Europie fragmentów średniowiecznego miasta: na pierwszym planie przysadzisty, najezony wieżyczkami Barbakan, do niedawna zwany przez krakowian Rondlem, a w głębi – „dumą strzelistą”, „wieżę maryjacką” „płynącą w gwiazdną przystań” – jak o kościele Panny Marii pisał Adam Polewka. Jeżeli właśnie Kraków przykrywał lekki welon mgły, jeżeli przez mgłę przebijało się jesienne słońce, złocące liście drzew na Plantach – widok zapierał dech w piersiach. Niestety, na plac Matejki wrócił Pomnik Grunwaldzki – ze względów sentymentalnych miły sercu krakowian, ale chybiony artystycznie. Dzisiaj wszystko – Barbakan, „wieżę Maryjacką” – przesłania koński zad... Zanim – z wielką pompą, za pomocą gigantycznego helikoptera – osadzono pomnik na cokole, panoramę średniowiecznego Krakowa starał się uratować Jerzy Madeyski. Napisał ostry artykuł w „Życiu Literackim”. Bezskutecznie...



Widok z ul. Floriańskiej, Erazm Rudolf Fabijański

Dajmy spokój niegdysiejszym swarom i stańmy na krakowskim Rynku, o którym lubimy mówić, że jest największym placem średniowiecznej Europy.

Ponoć wszystko zaczęło się od Bolesława Wstydlivego, jak można przeczytać w „Dziejach Polski” Jana Długosza:

Książę krakowski i sandomierski Bolesław Wstydlivy pragnąc doprowadzić swoje miasto Kraków do rozkwitu, jakiego nie mogło osiągnąć pod (rządami) Polaków i na prawie polskim, nadaje mu prawo średzkie czyli niemieckie i ustanawia w nim wójta, który zmienia rozmieszczenie (zabudowy) miasta i przenosi domy położone tam bez planu i porządku, a wytyczywszy najpierw rynek miasta, wyznacza odpowiednie w stosunku do niego ulice.

Był rok 1257, rok lokacji Krakowa, ale nie rok jego powstania, bo miasto już istniało i żyło, i to intensywnie. Już w dzisiejszym Rynku stały, choć nie we współczesnym swym kształcie, świątynie – kościół Mariacki i św. Wojciecha. Dlatego Rynek nie ma regularnego kształtu i nie wszystkie ulice wbiegają doń regularnie.

Krakowski Rynek jest ogromny, tworzy kwadrat po bokach mierzący dwieście metrów, a więc liczy sobie czterdzieści tysięcy metrów kwadratowych – cztery hektary. Kiedyś na tej przestrzeni tłoczyły się setki kramów, stał ratusz, spichlerz, miejska waga, odwach, który zniknął dopiero po ostatniej wojnie światowej. Niegdyś Rynek nie był po prostu Rynkiem, poszczególne jego części nosiły własne nazwy: Kurzy Targ, zwany też Kurnicznym Rynkiem, Targ Solny, Węglowy, Rynek Ołowiowy. Był Rybny Targ i Rakowy Targ, Bednarzy Targ, Chlebny Targ i Żydowski Targ. Jakże to przejrzyste, czytelne nazwy. Skąd jednak nazwa tak osobliwa jak „Na Goldzie”

## NA KRAKOWSKIM RYNKU

lub „Na Majestacie”, którą nosi skrawek Rynku u wylotu ulicy Brackiej? Ano stąd, że tam właśnie, na *theatrum*, zasiadali w majestacie polscy królowie.



Fenomen krakowskiego Rynku nie polega ani na jego wielkości, ani na tak godnym wieku, lecz na niezwyklej żywotności. W wielu miastach Europy średniowieczne rynki przestały pełnić rolę centrum miasta, tymczasem nasz Rynek Główny ciągle jest sercem Krakowa. Kiedy w marcu 1968 roku ciężarówki i kordony milicjantów zablokowały wszystkie wbiegające do Rynku ulice, miasto zaczęło się dusić. Żeby z Siennej dostać się na Szewską, z Floriańskiej na Wiślną, należało zatoczyć szeroki krąg. Plantami płynął tłum.

Tu dzieje się i działo przez wieki wszystko, co w Krakowie najważniejsze w politycznym, religijnym, towarzyskim wymiarze. Rynek – to nieustanne święto, nieustanny spektakl, w którym obok wydarzeń wielkich, zapisanych w podręcznikach historii są i całkiem małe, tragiczne i komiczne – „nasz dzień codzienny”.



# Linia A–B

## O mamutach z ciastkami

Zwiedzanie Rynku zacznijmy od linii A–B, biegnącej od ulicy Sławkowskiej do ulicy Floriańskiej. Rzecz dziwna, ale inne boki Rynku, nazwane liniami, nie zostały w świadomości krakowian zakonotowane tak mocno jak linia A–B. Ani linia C–D, między ulicą św. Anny a ulicą Szczepańską, ani E–F, od Grodzkiej do Wiślnej, ani wreszcie linia G–H, biegnąca od placu Mariackiego do ulicy Grodzkiej.

Linia A–B to szczególna część Rynku. Tutaj wymieniało się ukłony, najświeższe wiadomości i ploteczki. Tutaj trwała rewia mody, a zwykli zjadacze chleba oglądali się za filmowo-teatralno-telewizyjnymi znakomitościami. Tak było od dawna, bowiem linia A–B – to salon Krakowa. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych minionego stulecia można było sądzić, że na A–B zatrzymał się czas. Było tak, jak pisałem w „Smakowoniach”:

...staroświecko prezentowali się starsi panowie, w niedzielne przedpołudnie rozsiani wzdłuż linii A–B. Wąsami, laskami, subtymi futrami odbijali od codziennej komunistycznej szarzyzny, ale także od pstrokatych, kolorowych niczym papugi bikiniarzy, zwanych też dżolerami lub dżołami. Byli godni i osobliwi jak mamuty, którym udało się przeżyć własny gatunek. Osobliwy był też

## NA KRAKOWSKIM RYNKU

sposób noszenia przez nich – już tylko przez nich – zakupionych w cukierniach ciastek. Stara tradycja nakazywała zajadać po niedzielnym obiedzie ciastka kupione w którejś ze znanych krakowskich cukierni – u Wintera lub Scherharda, a jeżeli mieszkało się na Zwierzyńcu – u Janasa z ulicy Felicjanek. Starsi panowie przedwojennym sposobem, z wystudiowaną niedbałością, nosili paczki ciastek przytroczone do guzików długich, ciemnych futer. Rozsiewali woń naftaliny, wody kolońskiej i wanilii.

### O cielętach wyprowadzanych na spacer

Dodajmy, że jeszcze przed ostatnią wojną, nawet tuż po niej, linię A–B nazywano „Cielętnikiem”, bo niegdyś przechadzały się po niej – pod matczynym, czujnym okiem – panny na wydaniu. Trwał pokaz urody, mody i posagów, bo na A–B zawsze prezentowało się siebie i swoje najnowsze kreacje. Współcześni krakowianie nie wjeżdżają na Rynek nowiutkimi samochodami tylko dlatego, że od lat siedemdziesiątych jest on zamknięty dla ruchu kołowego.

### O samouwielbieniu hrabiego

W dawnych dobrych czasach można było zaprezentować najnowszy ekwipaż, budząc zazdrość arystokracji i podziw mieszczaństwa. Tak też czyniono, a zwłaszcza skłonność taką miał niejaki Aleksander Brześciański, mieniący się hrabią i może rzeczywiście posiadacz tytułu nadanego przez cesarza. Brześciański, który o swojej żonie zawsze mówił „pani hrabina”, szybko stał się przedmiotem kpin krakowian. Jeden z okrutnych – przynajmniej dla hrabiego – żartów opisała Maria Estreicherówna:

W karnawale 1852 roku pojawił się w oberży Lipieńskiego wyrażnie napisany anons: „Bal wyprawiony będzie dziś o dziewiątej punktualnie pod szlachtuzem na Psiej Górcie. Zaprasza się wszystkich, którzy mają nogi, bo bez nóg nie przyjmuje się. Nie wolno przychodzić w czamarach lub strojach narodowych, ale we frakach. Biletów można dostać u JW Pana Hrabiego Aleksandra de Brześciańskiego de Górka Narodowa, który jest entrepreneurem i gospodarzem balu. Szczodrośliwości nie kładzie się szranków.

Niewtajemniczonym należy się wyjaśnienie – Psia Górka to miejsce u zbiegu ulic Wielopole i Starowiślnej, na którym stoi Pałac Prasy, niegdyś siedziba „Kurierka”, czyli „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, a do 2011 roku „Dziennika Polskiego”. Miejsce było szczególne, tutaj niegdyś znajdował się kalwiński cmentarz, a ponieważ kalwinistów zwano „psami”, dziwna nazwa przetrwała do XIX stulecia.

Brześciański, który na własne oczy widział obwieszczenie, był zdruzgotany. „Fe, fe... mnie... ja, pan z panów, fe... mnie, magnata tak wyśmiewać!”

Anons został zdarty już o dziewiątej rano, ale o afroncie, jaki spotkał hrabiego, po kilku godzinach wiedział już cały Kraków, prawdę mówiąc – malutki i plotkarski. Mało tego, Brześciański został – jak najbardziej niesprawiedliwie – ukarany. Za nielegalne, bez ostemplowania, wywieszenie afisza. A co wspólnego ma z tą historią linia A-B? To, że właśnie tam krakowianie poznali hrabiego oraz jego samouwielbienie i samochwalstwo:

Gdy przybył pierwszy raz do Krakowa około roku 1847, kazał stangretowi zajechać na Rynek w południe, gdy ruch był największy, sam zaś wmieszał się w tłum, spacerujący po A-B. Gdy powóz zajechał, zatrzymał się przed nim i zawołał głośno: „Co za konie cudowne, co za kocz! Czyżże to ten cug przepyszny?” Stangret,

## NA KRAKOWSKIM RYNKU

który otrzymał odpowiednią instrukcję, odpowiedział: „Jaśnie wielmożnego pana hrabiego Brześciańskiego”, po czym zawrócił do domu. Mieszkańcy małego miasta, znający się wybornie między sobą, poznali od razu, że to sobie robił reklamę sam właściciel, który odtąd stał się celem drwin i kawałów.

## O plotkach i córach miłości

Jak się rzekło – co podkreśla Estreicherówna – Kraków był małym miastem i wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich, zaś linia A-B od dawna stanowiła miejsce wymiany informacji, stąd nowiny i plotki rozprzestrzeniały się na całe miasto:

Ten, co to go pani zna.  
Co mówią, że to z tą,  
Moja pani, moja pani,  
Co mówią, że to z tą,  
Co od akcyzy są.  
Co to ich złapał ktoś,  
Moja pani, moja pani,  
Co to ich złapał ktoś  
Pod Grażyną czy tam coś...

I tak dalej, i tak dalej – ciągnie się Boyowy wierszyk – długi jak plotkarskie pogawędki krakowskich matron na linii A-B.

Jednak na linii A-B przechadzały się nie tylko czcigodne, plotkarsko rozszeptane paniusie, co też zanotował dr Tadeusz Żeleński w wierszu „Kokotka krakowska z linii A-B”:

Gdy noc zstępuje z chmur  
I Kraków tonie w mgłach,  
Orszak wesołych miłości cór  
Mknie tam, gdzie wzywa fach.

Asfalt w księżycu łśni,  
Głucho w krąg...  
Hejnał z wieżycy drży,  
Policjant stoi jak drąg...

## O krakowskich Antkach

Bywalcami linia A-B byli też mieszkańcy Półwsia Zwierzyńckiego, Krowodrzy, Dębnik, dowcipni cwaniaczkowie, – krakowscy gawrosze, zwani Antkami.

Byli sławni w całej Europie, ponieważ Baedeker wymieniał ich jako jedną z krakowskich osobliwości. „Na równi z gołębia-  
mi (...) trzymali się środka miasta, czując się najswobodniej na  
bruku Rynku i sąsiednich ulic” – pisał o Antkach Marian Tur-  
ski, wspominając:

Z czego żyli? Trochę żebrali. Jednak bez nachalstwa, nawet z pewną nonszalancją: dasz – dobrze, nie – pal cię sześć. Poza tym mieli swoje interesy i przedsiębiorstwa indywidualne i spółdzielcze: gołębiarstwo, króliki, rybołówstwo i drobne usługi świadczone miejscowym i przyjeźdnym na dworcach, przy hotelach i sklepach. Mieli wiele specyficznej godności, byli uczciwi – nie zdarzało się, aby któryś z nich coś ukradł – w miarę uprzejmi, ale przede wszystkim dowcipni. O tym dowcipie rozwoził się Baedeker. Na przykład: „Kiedyś wracałem w nocy przez Rynek. Koło Baranów. Na rogu św. Anny, zaczepił mnie mały, może ośmioletni pędrak: – Panie radco, parę groszy! – Na moją uwagę, dlaczego się po nocy po mieście pęta, odpowiedział bez zająknięcia: – Dobrze panu mówić, ale moja żona właśnie rodzi, a nie mam na akuszerkę. – Czyż mogłem oprzeć się takiemu argumentowi?”

Potrafilo zaczepić wychodzącą z kościoła Mariackiego panią Żeleńską, najwyższą w Krakowie kobietę, tak wysoką, że wszyscy się za nią oglądali: „Pani! Pani, a zimno tam na górze?”

Jednak najwspanialsza historia przydarzyła się pewnemu japońskiemu generałowi.

Przed pierwszą wojną światową do Krakowa zjechała grupa japońskich sztabowców. Podobnie jak dzisiejsi ich rodacy, zwiedzali miasto z przewodnikiem w ręku, a ponieważ w przewodniku stało jak byk *eine besondere Schlafertigkeit der krakauer Antki*, koniecznie chcieli poznać ich dowcip. Niestety, nie pomagały nawet obietnice hojnego honorarium – prawdziwy krakowski Antek był artystą, który nie przyjmował zamówień, uliczny dowcip rodził się z natchnienia chwili, był reakcją na wydarzenie.

Wreszcie udało się. Oddajmy głos Marianowi Turskiemu:

Tłumacz spróbował ostatniej szansy – opowiedział mu [Antkowi – AK] cały swój kłopot i prosił, aby się przecież do Japończyków odezwał. (...) Wreszcie dał się ubłagać. Przyjrzał się pogardliwie stojącemu obok generałowi japońskiemu i wycedził przez zęby: „Niech no go pan spyta – iluż też miał ojców?” Tłumacz powtórzył pytanie po niemiecku. Wśród oficerów uczyniło się małe zamieszanie. Bądź co bądź – sytuacja niemiła, supozycja godząca w cnotę matki generała. Posądzony o wieloojcostwo generał podjął sam dyskusję z Antkiem, zapewniając go na migi – palcem, że miał ojca jednego, jedyne. Tamten nie reagował. Pokiwał tylko niedowierzająco głową (...) dając tym do zrozumienia, że jeśli tak, to nie ma o czym gadać. Zainterweniował tłumacz: – Dlaczego miałby mieć kilku ojców? – zaręcza przecież, że miał jednego. Antek raz jeszcze obejrzał bardzo dokładnie generała i rzekł: „A nieprawda – po dwóch jajkach by taki żółty był?”

Japończyk nie zachował w sercu urazy, ba, obdarował Antka zegarkiem, a zegarek – to było coś. Tradycyjnie maszyniści prowadzący cesarski pociąg dostawali od Franciszka Józefa solidną „cebulę”.

Z pewnością Antków można było też spotkać na A-B wśród szopkarzy czekających przed Bożym Narodzeniem na klientów. O tym jednak w rozdziale poświęconym krakowskim szopkom.



Dzisiaj A-B jest miejscem spacerów. Latem ludzie siedzący w licznych kawiarnianych ogródkach obserwują spacerujących, a zażywający przechadzki gapią się na siedzących, ale nie jest już linia miejscem, w którym umawiają się krakowianie. Od lat spotkania mają miejsce pod pomnikiem Mickiewicza, czyli „pod Adasiem”. Przez pewien czas młodzież umawiała się również pod Empikiem [przyp. red. od 2013 roku sklep Zara], u wylotu ulicy Siennej, nieopodal Szarej Kamienicy. Dlaczego? Bo taka moda, bo w 2006 roku pomnik Mickiewicza na wiele miesięcy został ogrodzony siatką – w wyniku sporów z powodu remontu Rynku. Chyba po raz pierwszy w historii kwiaciarki przeniosły się wtedy na kilka lat na zachodnią część Rynku a młodzież – na róg Siennej.

# Trzy pałace

Linia C–D, której nikt tak w Krakowie nie nazywa, rozciąga się pomiędzy ulicami św. Anny a Szczepańską. I chociaż nigdy nie była, tak jak linia A–B, miejscem obowiązkowych spacerów, prawdziwy krakowianin bywał tu równie często, jak na słynnym ongiś Cielętniku. Wędrując pomiędzy pałacem Pod Baranami a Krzysztoforami, wpadając na kawę do kultowego już „Zwisu”, czyli kawiarni „Vis-à-Vis”, do banku na rogu ulicy Szewskiej, do Pałacu Spiskiego – gdzie mieściły się „Delikatesy”, księgarnia „Camena”, a po dziś dzień „Europejska”, „Hawelka”, Krzysztofor – siedziby Muzeum Krakowa.

## O „Baranach”

Na linii C–D dominują jednak trzy pałace: Pod Baranami, Spiski i Krzysztofor, ciągnące się daleko w głąb ulicy Szczepańskiej. Zacznijmy od „Baranów”.

Składają się nań trzy kamienice, dwie od strony Rynku, jedna do strony ulicy św. Anny, z czasem połączone w całość.

Kamienice, a następnie pałac, przechodził z rąk do rąk, ale krakowianom kojarzy się przede wszystkim z Potockimi, którzy stali się jego właścicielami dopiero w 1822 roku. I od tego czasu, a zwłaszcza w drugiej połowie XIX wieku, nazwa „Barany” stała się synonimem wpływów, bogactwa, wytworności.



Maria Estreicherówna nie miała co do tego wątpliwości:

Wśród arystokracji pierwsze miejsce w życiu towarzyskim zajmowali (...) Potoccy, zarówno dzięki przyjęciom „Pod Baranami”, jak i w Krzeszowicach. Ustały te zabawy naturalnie po jego [hrabiego Adama Potockiego – AK] uwięzieniu, a nie odzyskały dawnego blasku w całej pełni po jego powrocie. Mimo to pani Adamowa (Katarzyna z Branickich) pozostawała nadal wyrocznią w tych sprawach: kto się zaliczał do wielkiego świata lub chciał do niego należeć, szedł tam, gdzie szła ona i przebywał na sali tak długo, jak ona.

„Barany” wracają w krakowskich wspomnieniach. Karol Estreicher w dzieciństwie dziwił się, że grasejujący ksiądz Pawlicki (będzie jeszcze mowa o tym wielkim smakoszu!) chodzi „pod Barhany”:

...ksiądz Pawlicki się pożegnał. Wszyscy chcieli go zatrzymać, ale nie mógł zostać, ale nie mógł zostać, bo się śpieszył, gdyż został zaproszony „Pod Barhany”.

- Co to są te „podbarhany”? – zapytałem Ewy.
- To pewnie sklep z bielizną – powiedziała.
- Głupi jesteście – przerwała Krzysia – to restauracja, gdzie wszyscy chodzą na obiady.
- A czemu tatuś i mamusia nie?
- Nie słyszałeś, jak tata mówił, że tej baraniny nie lubi i nie będzie się pchał do niej niczym pan Tomkowicz, który się tam nawet zaczepił o kłamkę.

Prawdopodobnie – a nawet z pewnością – chodziło o Stanisława Tomkowicza, znanego historyka sztuki i konserwatora, wnuka Franciszka Wężyka – poety, dramato- i powieściopisarza – postaci jeszcze mocniej niż wnuk zakonotowanej w pamięci Krakowa. Widocznie pan Tomkowicz rozpaczliwie chciał się znaleźć w wielkim krakowskim świecie...

## O wytwornych przyjęciach

Myliła się mała Krzysia Estreicherówna – późniejsza Krystyna Grzybowska – uważając „Barany” za restaurację, ale odrobi-  
nę racji miała: Pod Baranami rzeczywiście świetnie się jada-  
ło. Oddajmy głos Magdalenie Samozwaniec:

Pani Potocka, prowadząc na co dzień podobno bardzo skromną kuchnię, gościom nie żałował niczego i kolacje „Pod Baranami” na sto kilkadziesiąt lub dwieście osób były dosłownie szczytem „dobrego smaku”. Do tej zasadniczej kolacji, która odbywała się w trakcie balu, panowie prowadzili wybrane damy pod ramię. Na stole, który zaokrąglął się w podkowę, stały wśród kwiatów srebrne świeczniki, których blask rzucał niesłychanie twarzo-  
we światło na biesiadników. Przed każdym nakryciem stał kieliszek ze starą maderą, spirytusowe nalewki pili tylko panowie i to po jednym kieliszku. Do każdego dania nalewano oczywiście od-  
powiednie wina, a owych dań była nie kończąca się litania. Pa-  
nienki jadły zwykle mało i półgębkiem, bo dziewczę obżerające się było w bardzo złym guście, za to matki i ciotki wyżywały się w owych libacjach i miało się wrażenie, że po nudnym sterczeniu pod ścianą nadszedł wreszcie ich moment. Plotkując ochoczo, ale z umiarem (pani Andrzejowa miała czujne uszka) nakładały sobie na talerze galarety, zimne mięsa lub kawior, potem jakieś vol-au-  
-vent z drobiu lub chaud-froid z kuropatw, następnie „coś z ryb” –  
łososie z rusztu lub sandacze w sosie rakowym, potem czerwone  
piękne platy polędwicy. Z upojeniem frygały po tych daniach pie-  
czyste, jakieś kapłony nadziewane kasztanami lub perliczki z bo-  
rówkami. Następnie szparagi lub karczochy. Po tym jarskim daniu  
rzucały się z zapalem na bomby z lodów, torty hiszpańskie, mro-  
żone kremy z owocami. Nie myślmy, że po słodkim gardziły sera-  
mi podawanymi z chlebem-pumpernikiem i rzodkiewkami. Na  
deser bywały mandarynki, winogrona i owoce w cukrze, których  
też sobie nie odmawiały.

Jak widać, „Barany” podejmowały gości prawdziwie po królewsku. Inaczej nie wypadało. Przekonał się o tym profesor Józef Dietl, prezydent królewsko-stołecznego miasta, który ośmielił się podczas magistrackiego balu nie podać ciepłej kolacji. Sarkano wtedy w Krakowie, jeszcze jak sarkano, co skrzętnie zanotowała pani Maria z Mohrów Kietlińska:

W dwóch bocznych salach zastawiono bufet zimny, z profuzją wybornych win, słodczy i owoców; honory, oprócz gościnnego prezydenta, czynili ojcowie miasta. Tańczono do świtu. A echa pięknej zabawy odbiły się daleko. Nie brakło w mieście malkontentów, którzy nie mogąc sobie wyobrazić kolacji bez kotletów z sosem, zarzucali prezydentowi, że nie dał wieczery gorącej (na 1000 osób).



Potoccy z „Baranów” nie tylko potrafili hucznie podejmować gości, a sam pałac nie był wyłącznie miejscem zabaw. Kiedy w 1850 roku przez miasto przetoczył się straszliwy pożar, to „Barany” stały się miejscem, w którym organizowano pomoc dla pogorzalców. Sięgnijmy po niezastąpioną Marię Estreicherówną:

Jeszcze Kraków stał w płomieniach, gdy hr. Arturowa Potocka otworzyła biuro ratownicze dla pogorzalców w sieni pałacu „Pod Baranami”, a zawiązany naprędce komitet obywatelski pod jej przewodnictwem rozwinął żywą działalność. Zaczęły hojnie napływać dary z całej Polski. Że jednak władze ogłosiły, iż składki z Królestwa wolno składać tylko na ręce konsula austriackiego, natychmiast zapal ostygł.

Mimo tych kłopotów komitet obywatelski działał, i to skutecznie, o wiele lepiej niż oficjalnie zorganizowana pomoc,

a hr. Potocka została nawet uhonorowana wybitym na jej cześć medalem. „I tu więc inicjatywa prywatna w akcji charytatywnej okazała się owocniejszą od etatystycznej” – stwierdziła Estreicherówna...

## O Piotrze Skrzyneckim z brązu i „Piwnicy”

Od 1956 roku w podziemiach „Baranów” gnieździ się „Piwnica” – kabaret legenda, najsłynniejszy – po „Zielonym Baloniku” – kabaret Krakowa. Dzisiaj co prawda to już nie to, co kiedyś. Nie ma Piotra Skrzyneckiego, fantazja już nie ta i czasy także inne, niesprzyjające kabaretowi. A kiedyś... Kiedyś w „Piwnicy”, która przez lata była piwnicą przez małe „p”, czarną od węglowego miału, bywał cały Kraków i jeszcze kawałek Europy. Co za nazwiska! A początki, w czasach kiedy w Polsce dogasał stalinizm, były niezwykle – malownicze i biedne, tak wspominał przez Joannę Olczak-Ronikier:

Od chwili, kiedy Piotr przejął ster, kabaret zaczął wspinać się błyskawicznie po szczeblach Sławy. Ku naszemu osłupieniu o Piwnicy zaczęło być głośno w całej Polsce. Grało się wtedy raz, dwa razy w tygodniu, właściwie dla tej samej publiczności, czyli przyjaciół i przyjaciół przyjaciół. Nie było mowy o tym, by do środka mógł się dostać ktoś z Miasta, nie wprowadzony, nie zarekomendowany. Bardzo to pomogło w tworzeniu legendy. Szeptano o orgiach, pijatykach, „czarnych mszach”. Przy piwnicznym okienku wychodzącym na ulicę św. Anny gromadziły się tłumy, z okienka walił dym; kto ukląkł i zajrzał do środka, widział ogień z kominika i słyszał ryki publiczności. Robiło to dość upiorne wrażenie.

Okienko było wtedy jedynym źródłem tlenu dla Piwniczian, a także modnym i ekscytującym wejściem do Piwnicy. Do najlepszego tonu należało swoich gości, zwłaszcza panny, wprowadzać

tamtędy, choć istniało przecież wejście normalne. I regułą było, że podczas spektaklu nad głowami występujących pojawiały się na drabince prowadzącej do wnętrza najpierw dziewczęce nóżki, potem falbanki modnych wówczas halek, a potem – w miarę schodzenia – wszystkie szczegóły damskiego dessous etc., oklaskiwane gorąco przez widownię.

Piotr odszedł, spoczął na Rakowicach, ale pozostał w Rynku, przed kamienicą „Pod Jagnięciem”, precyzyjnie rzecz ujmując – przed kawiarnią „Vis-à-Vis”. Ubrązowiony, zasiadł przy stoliku z brązu, przy brązowym papierosie dopalającym się na skraju brązowej popielniczki. Taki jak w wierszu-piosence Leszka Wójtowicza:

Największy błagier świata  
Mieszka od lat w naszym mieście  
Ma brodę z białego srebra  
A oczy podobno niebieskie  
Ostatnio zmienił kapelusz  
Nie nosi już tego ze słomki  
Mówią, że spotkał anioła,  
Który do niego tu zstąpił.

Kiedyś z niezbyt odległej ulicy Gołębiej, z „Kolorowej”, Piotr przyprowadził tutaj „Piwnicznan” i pozostał na zawsze – z kwiatami w brązowej dłoni, świeżymi, codzienne przez lata wkładanymi przez kelnerkę, panią Krysię, z gołębiem piórem wetkniętym za brązowy kapelusz. Nie bez powodu, bo żywy Piotr też lubił paradować z piórem za kapeluszową wstążką.



## NA KRAKOWSKIM RYNKU

A skoro mowa o brązowym Piotrze Skrzyneckim... Przez kilkadziesiąt lat należał do charakterystycznych rynkowych postaci. Nie on jeden. Bo jeszcze przemykał w stronę Krzysztoforów Stanisław Balewicz – niestrudzony gaduła, współczesny Rydel, który potrafił złapać człowieka za rękaw, za guzik – i gadać, gadać, gadać... To górna, artystyczna półka rynkowych bywalców. Niżej plasował się niejaki „Szajbus” bywalec „Vis-à-Vis”, też już obecny tylko w pamięci – i na zdjęciu w kawiarni. Szalał po Rynku, głównie w okolicach Pałacu Spiskiego i Krzysztoforów, człowiek nazwiskiem Piątek, przez samego siebie nazywany „Końskim Pogotowiem” lub „Pierwszym Gówniarzem Rzeczypospolitej”. Był kiedyś kierowcą w MPK i dlatego często chodził w mundurze, od czasu do czasu zmieniając go na krakowski strój. Miał umowę z dorożkarzami – czy pisaną, czy ustną, tego nikt nie wie – na sprzątanie śladów końskiej obecności. Kiedy dorożkarskie szkapę zanieczyściły Rynek, Floriańską lub Grodzką, natychmiast pojawiał się Piątek „Końskie Pogotowie”. Podjeżdżał rowerem, sprzątał – ładując końskie jabłka do wózecka, pełnego już niezbyt wonej zawartości.

Do charakterystycznych postaci przebywających w tej części Rynku należała pani Danka sprzedająca obwarzanki przed Krzysztoforami. Pyskata, zadziorna, godna następczyni krakowskich, rynkowych przekupek, bezustannie wchodziła w konflikty – najpierw z milicją, później z policją i miejskimi strażnikami. Pozostał po niej wiersz Marka Wawrzyńskiego, poety i barmana z „Vis-à-Vis”:

pani Danka sprzedawała precle  
i inne konfekcje  
chłopcy obok w bramie muzeum

czasem oglądali broń  
śmierć wezwała ją pod kościół  
na rekolekcje  
zanim potrąciła ją po drodze



Pałac Spiski pachniał jak żadne inne miejsce w Krakowie – czekoladą i – przed Bożym Narodzeniem – pomarańczami. Jak większość przyrynkowych pałaców i kamienic ma długą, skomplikowaną przeszłość. Przede wszystkim jednak kojarzony jest z Hawelką, krakowskim kupcem i „Hawelką”, słynną restauracją, ale o tym w rozdziale poświęconym rynkowemu handlowi i wyszynkowi.

## O szalonym Austriaku

Teraz powiedzmy tylko o jednym z licznych lokatorów Pałacu Spiskiego. W 1796 roku zamieszkał w nim baron Jan Wacław Margelik, austriacki komisarz. Do swej rezydencji zjechał paradnie – w sześciokonnej karecie, ubrany z przesadną elegancją. Opuścił ją w zgoła inny sposób – konno, wykrzykując, że jest ścigany *durch das polnische Regiment Ruchawka*. Pan baron po prostu oszalał, a objawy jego szaleństwa Kraków po raz pierwszy zauważył podczas balu u starościny Wolbromskiej, kiedy – jeżeli wierzyć pamiętnikarzowi – „z zdziwieniem całej najwykwintniejszej kompanii dam, wstał z kanapy, gdzie zwykle zasiadać lubił, i jakgdyby nikogo nie był w pokoju, stanął sobie przed kominkiem i zaczął weń puszcząć wodę”.

Margelik nie tylko oszalał, ale na dodatek narobił długów. Po jego ucieczce przed „Regimentem Ruchawka”, meble pana barona zostały wystawione na licytację. Z pewnością ku wielkiej uciesze krakowian...

## O Krzysztoforach

Za Pałacem Spiskim (przed kilku laty jakiś nieuk umieścił na nim tabliczkę z napisem „Pałac Spiskich”!) – Krzysztofora, kolejny pałac, gmaszysko wielkie, ciągnące się w głąb ulicy Szczepańskiej, kojarzone z Muzeum Krakowa, z teatrem Kantora, ze słynną, ogromnie kiedyś popularną, aczkolwiek niedostępną dla profanów kawiarnią.

## O diabelskim skarbie

Mało kto już pamięta, że w podziemiach Krzysztoforów spoczywają ogromne skarby, pilnowane przez samego Lucyfera. Było tak: służąca – dziewczę zacne i porządne, ale służące u złej pani – przechodziła obok Krzysztoforów, niosąc zakupione na targu kurczęta. Jedno z kurcząt wyrwało się jej z rąk i przez otwarte okno wpadło w piwniczne czeluści. Dziewczyna – bojąc się, że zostanie surowo ukarana przez panią – weszła do podziemia. Idąc za kurczakiem, trafiła do piwnicy, w której na przyłomie złota siedział diabeł. Czart, wzruszony ciężką dolę maltretowanej służącej, pozwolił jej zabrać tyle złota, ile go zdoła unieść – nie bezwarunkowo wszakże, bo w bajkach i podaniach biedni ludzie zawsze muszą spełniać narzucone im warunki. Służącej nie wolno było się oglądać, jednak – jak to dziewczyna – w ostatniej chwili zerknęła za siebie i wtedy z ogromnym impetem zamknęły się drzwi, odcinając jej piętę.



Na szczęście złoto nie przepadło i dzięki niemu zacna dziewczyna nie tylko wyszła za mąż, nie tylko ufundowała kaplicę w Mariackim kościele, ale na dodatek wyleczyła się. Ambroży Grabowski, który tę opowieść spisał na początku XIX wieku, dodał do niej taką „Obserwację”: „Mój Boże! jak się zmieniły czasy... Dawniej i diabeł wsparł ubogiego, a teraz i obywatele Piekieł zaskąpili...”. Co prawda, to prawda...

Podobno legenda jest tak stara, że już podczas konfederacji barskiej, w roku 1786, rosyjscy jeńcy zapuścili się w krzysztoforskie podziemia w poszukiwaniu diabelskiego skarbu. Złota nie znaleźli, ale za to trafili na kilka antałów starego wina i tak sumiennie zabrali się do pijatyki, że aż ośmiu zapilo się na śmierć.

## O bosym Przybyszewskim i tragicznej śmierci Gabryelskiego

Po wielu, wielu latach w Krzysztoforach znów zdarzyła się śmierć – tragiczna, samobójcza, spektakularna – strzelił sobie w głowę Zdzisław Gabryelski, właściciel mieszczącego się w tym pałacu składu fortepianów. Jednak nie od Gabryelskiego zaczniemy tę opowieść, ale od Stanisława Przybyszewskiego.

Kiedy Przybyszewski – lichy człowiek i jeszcze gorszy pisarz – pojawił się w Krakowie, część jego mieszkańców uzależniła się od „smutnego szatana” niczym od wódki lub narkotyku.

Wpływ Przybyszewskiego na krakowską młodzież, artystyczną i pseudoartystyczną, był tak wielki, że przypisywano mu odpowiedzialność za falę samobójstw, która przeszła przez miasto. Przybyszewski fascynował niezwykłą ekspresją, sposobem bycia, satanizmem, grą na fortepianie. Zanim przybył do Krakowa, poprzedzała go legenda i właśnie ona

odpowiedzialna jest za niezwykle słowa, którymi Gabryelski powitał Przybysza:

Tego pamiętnego wieczoru w dniu mego przyjazdu do Krakowa poznałem na tej, swoją drogą nie bez talentu napisanej „Królowej przedmieścia” (...) całe mnóstwo ludzi, prawdopodobnie uprzedzonych (...), że do Krakowa przyjeżdżam.

Na samym wstępie zastanowił mnie jeden człowiek – przystojny, starannie ubrany – stanął nagle przede mną i powiedział jednym tchem:

– Byłbym szczęśliwy, gdybym był cielakiem, z którego skóry pańskie buty wyprawione.

Przez chwilę cośkolwiek zgłupiałem, ale nie przeczę, że byłem wzruszony tą przemową.

Przybyszewski, skłonny do mitomanii, tym razem nie przesadzał. Słowa Gabryelskiego potwierdzają inni pamiętnikarze, a jemu samemu przywitanie musiało się ogromnie spodobać, skoro umieścił je – w nieco zmienionej formie – w „Synach ziemi”, gdzie Czerkaskiego, noszącego wiele cech autora, tak wita jego wielki miłośnik:

Panie, nie jestem wart być cielakiem, z którego skóry zrobione buty pańskie, a co dopiero podać mu rękę.

Kim był Gabryelski, poza tym, że handlował fortepianami? Studiował w Niemczech filozofię, wydał nawet jakąś broszurkę, która okazała się plagiatem. Był zagadką, nawet dla Boya:

Dziwny był człowiek, ten Gabryelski. Kiedy się nad nim po latach zastanawiam, nic o nim nie wiem. (...) On nie umiał się uporządkować z samym sobą.

Ten nieuporządkowany człowiek nie tylko obdarzył Przybyszewskiego obuwniczym komplementem, ale także



Stanisław Przybyszewski, Juliusz Mien

fortepianem. Wprost z teatru Gabryelski całą kompanię zaprosił do siebie, do Krzysztoforów, miejsca – jak twierdził Boy – idealnego do upicia się:

Z pewnością w całej Europie nie znalazłoby się piękniejszego miejsca do upicia się niż historyczny gmach Krzysztoforów, gdzie w szeregu sal stały szeregiem dziesiątki fortepianów, a w nich lśniły szeregiem czarne na przemian i białe klawisze. Pomyślcie tylko, jak to wszystko zacznie wirować, wibrować, tańczyć, chichotać... Okna szeroko otwarte na cudny Rynek krakowski, muzyka płynie het, het, aż po mogiły Krakusa i Wandy...

Nad ranem, na kłęczkach, Gabryelski ofiarował Przybyszewskiemu koncertowy fortepian – nie byle jaki: Steinwaya! Po wytrzeźwieniu Steinway zmienił się w Petrofa, ale słowo się rzekło, kobyłka u płota – pierwszym meblem w krakowskim mieszkaniu Stasinka stał się fortepian.

Jednak pomiędzy Przybyszewskim a Gabryelskim zaczęło się dziać źle. Podobno – jak twierdził Tadeusz Boy-Żeleński – poszło o kolejny fortepian, który, zdaniem Przybysza, właściciel składu powinien ofiarować ubogiej matce pewnego krakowskiego aktora. Gabryelski, owszem, mógł być mecenasem, ale bez przesady. Zaczęło się więc gadanie o tym, jakim sobkiem, egoistą, jaką świnią jest Gabryelski. W końcu doszło do gorszącej sceny. Nocą, na Rynku, Przybyszewski zdjął z nóg pożyczone od Gabryelskiego buty i poszedł do domu w skarpetkach.

Historię butów Gabryelskiego, o której plotkowano w Krakowie, mową wiążaną opisał niejaki Maciej Szukiewicz:

Raz, gdy swych wielbicieli wiódł na szklanę grogu  
I w deszcz w Gabryelskiego butach paradował,  
Ofiarodawca nagle zjawił się zza rogu

I próbuje, z początku uprzejmej perswazji:  
Że wódka jest trucizną dla twórczej fantazji,  
A cóż dopiero, jeśli pomieszana z rumem!  
Niech na dziś zaprzestanie już dalszych libacyj;  
Że tak pić, jak on pije, jest wprost nierozumem,  
Na co mu gotów przywieść jeszcze tysiąc racyj.  
„Mój Stachu – rzecze wreszcie – skoroś jest pijany.  
Od słów mych groch się prędzej przylepi do ściany!  
Więc ci to tylko powiem, choć mi nieprzyjemnie:  
Zechciej zwrócić mi buty, które masz ode mnie”,  
A na to Przybyszewski: „He, he, racja, racja,  
I nie dziwi mnie całkiem twa abominacja,  
A że przemawiasz do mnie z serca, a nie z żółci,  
Więc zabieraj je sobie! – patrz, otom je zzuł ci,  
Chociaż się urodziłem pod strzechą w Łojewie,  
To złote noszę ziarno w ciała mego plewie:  
Byłem i jestem wolny! Chodźcie, przyjaciele!  
Popijem sobie dzisiaj jeszcze małowiele!”  
„Niech żyje nasz mistrz!” – krzyknie młodzież zachwycona  
I bosego porwawszy gwałtem na ramiona,  
Poniosła go w tryumfie do innego szynku.  
Zaś Gabryjelski, sam się ujrawszy na Rynku,  
Nie wiedząc, co ma z nimi począć w takie pluty,  
Został ze swą konfuzją i mokrymi buty.

Zaczęło się od butów, ale na butach się nie skończyło:

Gabryjelski, jako dobry handlowiec, musiał zrobić bilans sytuacji. Stracił najpiękniejszego Petrofa, dołożył sporo w gotowiznie, i za to wszystko okrzyczano go – Bóg widzi, że niesłusznie – skapcem, brudasem i świnią. Nie mógł tego strawić, zawrzał zimnym gniewem i powziął decyzję. Świnia to świnia. Jednego dnia, gdy w domu Stacha było pełno i gwaro, zjechała przed bramę platforma. Wszedł Gabryjelski, a za nim czterech tragarzy. Obecni stali w oczekiwaniu, nikt nie przywitał się z nikim, nikt nie wyrzekł

## NA KRAKOWSKIM RYNKU

słowa, wszyscy patrzyli w milczeniu. Gabryelski skinął dłonią, czterej tragarze załadowali Petrofa i znikli ze swoim ciężarem. Scena ta miała coś widmowego: „Maska czerwonej śmierci” Edgara Poe!

Po wyjeździe Przybyszewskiego z Krakowa, Gabryelski zaczął handlować pianolami. Jak pisał Boy: „Reklamował pianole, sprzedawał pianole, wciskał ludziom na raty pianole, sam grywał całymi nocami ma pianoli”. Znów, jak dawniej, muzyka wylewała się z Krzysztoforów na krakowski Rynek. Pewnej nocy, nad ranem, muzyka umilkła, padł strzał, a po nim zaległa cisza...